

**Łukasz Najder**

## **Karma Adriana**

Polo, dzisiaj. Tumult i tłum. Mam karteczkę z listą koniecznych zakupów, więc nie miotam się, lecz wiodę swój wózek spokojnie i pewnie. Ostrożnie wymijam inne wózki, w których połyskują spiętrzone dobra, masywne chłodnie, zigguraty słodczy w promocyjnej cenie, paleciaki uginające się od mąk i minerałek. Dobijam wreszcie do półki z przetworami rybnymi. Chcę kupić śledzie w ziołach — bardzo je lubię. Właśnie po nie sięgam, gdy moja dłoń zostaje odtrącona przez czyjąś grubawą łapę. Łapa zamyka się na słoiku i ściąga ów słoik do swojego koszyka. Właścicielem łapy jest dość przerażający i krępy jegomość z gatunku: zarobiony dres. Czyli dres mentalny, ale odzież wierzchnia szykowna. Srebrny łańcuch, uczesanie na milimetr i zmanierowana panna u boku — „Adrian, weź te robaki jeszcze” — dopełniają dzieła i obrazu. Pytam od razu kogoś z załogi Polo, czy te śledzie w ziołach, to są jeszcze? Nie. Adrian zawinął mi sprzed nosa ostatnie, zajmował ostatniego dodo-śledzia, że tak dosadnie ujmę całą sytuację. Mało tego — tuż po tym, jak wybrzmiała kwestia o nieuzupełnialnym braku śledzi w ziołach, Adrian zwraca się do mnie i mówi:

— No nie dowieźli. He, he.

Milczę. Jestem duży, ale mięciutki na ciele i duszy. W rewanżu posyłam mu więc tylko za pomocą oczu skoncentrowaną wiązkę negatywnej energii i nieme życzenie śmierci. Taki cios dim mak.

Kwadrans później, kiedy już płaciłem przy kasie, zobaczyłem Adriana znowu. Wracali do auta. On objuczony siatkami, ona — gestykulująca, z komórką przy uchu. Ciął mokry śnieg z deszczem, jak to na polskim przedwiośniu. Adrian nie zauważył łańcucha, którym do kiosku z fajkami i prasą przytwierdzony był koziołek reklamowy, lotto, wielka kumulacja. Zawadził, machnął ze dwa razy ramionami, skręcił jakoś tak bezradnie głowę w stronę swojej ukochanej i padł w breję.